Ilustrowany KURJER POLSKI

Kraków, dnia 9. lutego 1941.
Nr. 6 Rok 2 40 gr.



DEKORATORKA WYSTAWY
PRZY UBIERANIU MODELA WIOSENNEGO
W następnym numerze ciekawy reportaż z Gimnazjum Kupieckiego w Krakowie.
Fot. Kurkiewicz



Walka na pustyni i na Morzu Śródziemnym

Na lewo:

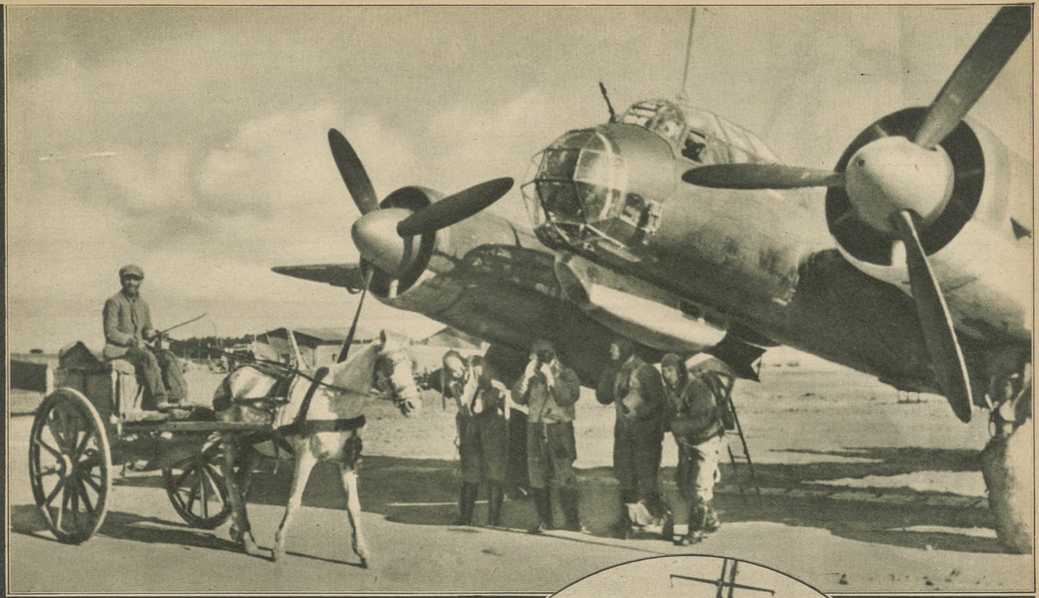
SUCHY I GORĄCY JEST WIATR PUSTYNNY

Utrudnia on walkę, ale jej nie uniemożliwia. Żołnierze lotnictwa włoskiego maszerują do swych gotowych do startu maszyn.

Na prawo:

WIEK STARY I NOWY SPOTYKAJĄ SIĘ

Sycylijski wózek zaprzężony w osła przed nowoczesną niemiecką maszyną bojową.



ONI JUŻ PRZYWYKLI DO WALK NA PUSTYNI

Włoskie wojska kolonialne na swych stanowiskach w okopach.



U dołu:

RUCHY WOJSK NA PUSTYNI

Sprawozdawca filmowy lotnictwa włoskiego zrobił to zdjęcie ze samolotu towarzyszącego postępującym naprzód wojskom. Jak żołnierze ołowiani wygląda ten oddział idący w szyku rozstawionym i szeroką linią.





Z FRONTU LIBIJSKIEGO

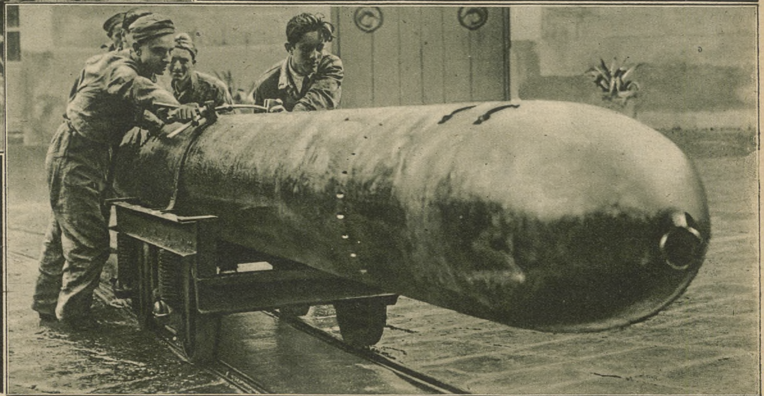
Na pustyni nie ma dla żołnierza żadnej osłony naturalnej do obrony przed atakami wrogów. Ten oddział żołnierzy włoskich został przez samoloty nieprzyjacielskie z siłą zaatakowany i ostrzelany. Ale strzelcy karabinów maszynowych pełnią dalej nieustraszeni swoją powinność, mimo że niespełna trzydzieści kroków dalej eksplodowała bomba.



Fot. Ass. Press (4)
Atlantic (2)
Fot. Weltbild

SŁUŻBA PATROLOWA ŚLIZGOWCÓW WŁOSKICH

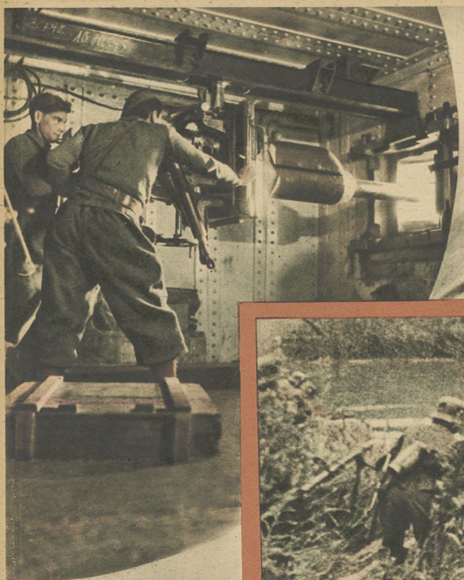
Celem zabezpieczenia wybrzeży włoskich, stworzyła marynarka włoska małe poruszające się bez szelestu i niewidoczne łodzie.



ŚMIERCIONOŚNY ŁADUNEK

W jednej z włoskich baz zostaje załadowana torpeda.

„Zwycięstwo na Zachodzie"



Na lewo:
W podziemiach linii Maginota. Ze zdobytego filmu francuskiego.



Fort francuski zdobywany przez niemieckich miotaczy płomieni.



U dołu:
Pionierzy niemieccy przepływają w łodziach gumowych rzekę Aisne.



Na prawo:
Niemieckie wozy pancerne osłaniają atak piechoty.

Kiedy w maju ubiegłego roku podnieśli się Niemcy na zachodzie jak olbrzymi kolos i rzucili się na front holenderski, belgijski, angielski i francuski, odżyła w niejednym nadzieja: teraz jest to ich krok śmiertelny. Lecz nie powstrzymała ich nawet najlepiej broniona twierdza i najlepsza armia lądowa. Jeszcze prędzej niż my skapitulowała Holandia, Belgia złożyła broń, ekspedycja angielska została zepchnięta do morza, a pod coraz gwałtowniejszymi ciosami armii niemieckiej załamała się pełna chwały armia francuska, przełamana została „niezwyciężona" linia Maginota. Wśród warkotu niemieckich bombowców, wobec żelaznych murów ich wozów pancernych, w płomieniach wywoływanych ich miotaczami płomieni, upadły nadzieje ich przeciwników. A ponad tym wszystkim warczały samoloty niemieckie, niszczyły arsenały i lotniska, zdobywały przewagę w powietrzu jeszcze zanim przyszło do punktu kulminacyjnego. Ta dokładność współpracy z wszystkimi rodzajami broni, zapewniła Niemcom to zwycięstwo.

W tych dniach odbyła się w Niemczech premiera filmu „Zwycięstwo na Zachodzie", który to film, uzupełniony jeszcze zdobytymi filmami angielskimi i francuskimi, przedstawia te zapasy w scenach pełnych wrażenia. Nasze ilustracje pokazują wycinki z tego filmu, który jest równocześnie dowodem odwagi niemieckich sprawozdawców wojennych, będących stale w pierwszej linii bojowej.



Pochwała nart

Humoreska

Jeszcze przed wojną wyjechałem do Zakopanego i tam zapaliłem się do narciarstwa. Co za wspaniały sport, a ci narciarze to naprawdę mili chłopcy, weseli i beztroscy, a jak ślicznie wyglądają w swoich strojach? Postanowiłem, że też muszę jeździć na nartach i chodzić po kawiarniach w norweskich spodniach i ciężkich okutych butach.

Zaraz po powrocie do Krakowa poszedłem do szkolnego kolegi, znanego mistrza narciarskiego z prośbą o radę i pomoc przy wyborze ekwipunku.

— Doskonale, że przyszedłeś z tem do mnie, — przywitał mnie sportowiec. — Nie mogłeś lepiej trafić. Zaraz pomyślimy o wyborze sprzętu. Ale jaką gałąź narciarstwa chcesz uprawiać: skoki, zjazdy, biegi?...

Chciałem po prostu łazić po śniegu, ale wstydziłem się zdradzić z tak przyziemnymi myślami, wyszeptałem więc zażenowany:

— Może na początek będę skakał?...

— Świetnie! Zobaczysz, że nie pożałujesz swego wyboru. Co za rozkosz oderwać się od ziemi jak ptak i lecieć w przestrzeń...

...Kupimy skokowe hikory, — ciągnął dalej pełen zapału sportowiec, — hikory szerokie i solidne. Wiesz taka deska jest tak ciężka, że nie wiem czy będziesz ją mógł dźwignąć jedną ręką? — Z poważną miną zbadał moje bicepsy. — Oo! na pewne jej nie podniesiesz w ręku, ale na nogach dasz radę. Zresztą co tu dużo gadać: początkowo nie ty będziesz nosił narty, ale narty będą nosiły Ciebie. Zobaczysz co to będzie za checa: Chcesz w prawo, a narty w lewo. Nie pomoże żadne hamowanie: j a d ą ! ! i to nie środkiem rozbiegu jak ty byś sobie tego życzył, tylko gdzieś w bok.

Nagle straciłem ochotę do skoków i drżącym głosem powiedziałem memu mistrzowi, że raczej czuję powołanie do biegów płaskich...

— Oo! to cudowna dziedzina, — przyznał, — biegniesz sobie na leciuchnych jak pióreczka deseczkach przez pola, lasy, parowy... A jakie to wyładowanie energii! W największy, siarczysty mróz biegniesz w samej koszuli i jest ci gorąco, oblewa cię pot... tylko wtedy jest nieprzyjemnie jak pęknie wiązanie, lub złamie się narta. Skutkiem przymusowego postoju, można się porządnie przeziębić. Co ja mówię: można? musi się przeziębić, a nawet dostać zapalenia płuc. Wszyscy zawodnicy, którym się przytrafił taki wypadek, powymierali... Ale ci, którzy szczęśliwie przebiegli są uszczęśliwieni...

Ja jednak nie byłem uszczęśliwiony. Z moją skłonnością do katarów nie miałem ochoty na takie ryzyko.

— Wiesz, — przerwałem, — mam wrażenie, że ja najlepiej będę zjeżdżał! To przecież nie wymaga tak wyczerpujących ruchów?...

— Naturalnie, że zjazdy nie wymagają takiego wysiłku, zgodził się narciarz. — Często nawet na dłuższych szusach, kiedy się jedzie bez ruchu, zdarzają się wypadki odmrożenia twarzy i rąk. Ale tym się nie zrażaj, to są odosobnione wypadki. A przyjemność jest ogromna. Wyobraź sobie ten rozkoszny pęd! Sto, a nawet więcej kilometrów na godzinę. W takiej szybkości upaść na zlodowaciały śnieg, albo trzasnąć o drzewo... Galaretka z narciarza, galaretka! Żaden automobilista nie zna takiej wspaniałej, bezpośredniej szybkości...

Przymknąłem z rozpaczą oczy i w wyobraźni już się widziałem rozpylonego na lodowych stokach...

— Zdaje mi się jednak, że nie nadaję się na zawodnika. Wolałbym turystykę.

— Brawo! to mi się podoba! Będzie z ciebie doprawdy doskonały narciarz. Naturalnie, że zawody nigdy nie dają takiej przyjemności jak turystyka. W górach obcujemy z przyrodą, zżywamy się z naturą i jej niespodziankami. Wyobraź sobie idziesz granią... Narty okute, na plecach ogromny worek. Przed Tobą wspaniały widok. Tylko nie należy się „zagapiać". Trzeba uważać co się dzieje pod nogami. Jedno poślizgnięcie i leżysz o setki metrów niżej w białej przepaści. Albo podetniesz deskę, czy niewinnie wyglądający nawis i gotowa lawina! Ani się nie spostrzeżesz, a już Cię przysypało i umierasz przyduszony śniegiem. A te wspaniałe słoneczne poranki, te pogody zmienne. Ni stąd, ni z owąd nadchodzi mgła i zadymka. Nic nie widać na krok. Nie pomogą wtedy kompasy, ani mapy. Najwytrawniejsi turyści gubią się we mgle i giną w górach. Zresztą aby zabłądzić nie potrzeba mgły. Jeden ze znanych turystów chciał sobie skrócić drogę, zgubił się i wlazł w kosówki. Tak się zaplątał, że znaleziono jego kości dopiero na wiosnę, jak stajały śniegi...

— Mój drogi, — przerwałem koledze zdenerwowany i roztrzęsiony. — Mój drogi, można jednak jeździć na nartach też i pod Krakowem. Przecież na Sikorniku nie ma lawin, ani kosówek...

— Niech cię Pan Bóg broni od jeżdżenia pod miastem! — krzyknął narciarz. — Przecież to strasznie niebezpieczne! Tam jeżdżą setki narciarzy. Teren ubity jak beton. Może cię ktoś przebić kijem, złamać ci nogę, wybić oko...

Nie słuchałem dalej. Zerwałem się i uciekłem.

Tego samego dnia kupiłem paletkę i piłeczki i zapisałem się do klubu ping-pongowego.

A. Butti.

Mróz

Na szybach błyszczą kiście szronu lśniące,
Powstaje bajki fantastyczny świat,
Wychyla w ciszy swe usta krwawiące
Jakiś nieznany południowy kwiat.

A tam znów dalej las wyrasta duży,
Smukłe olbrzymy wieńczą niebios szczyt.
Śnieżek zaś spada, podfruwa i kurzy
I ścina krzew mrozem, co na wiosnę kwitł.

Wszystko ty znajdziesz na dziennej szybie
Cokolwiek zechcesz pokaże ci mróz.
Wspomnienie wiosny w sercu się kołebie
Choć w ziemię opadł krwawy zimy nóż.

Za oknem twoim srebrzyście i biało
W słonku się iskrzy złotolity pył,
W duszy się ozwał legendą wspaniałą
Świat już przeżyty, coś o nim już śnił.

To samo słonko, co na niebie świeci
I smutniej spoziera w ten zimowy czas,
Gdy przyjdzie wiosna serca nam oświeci
I pójdziem wszyscy w wonięjący las.

Al. Pata.

Prezenty imieninowe...

Długo zastanawiała się mama jaki prezent zrobić ojcu na imieniny.

Była w projekcie srebrna papierośnica. Ale bardzo krótko, ponieważ papierośnicę ofiarowuje się tylko palaczom — a mama akurat trzydziesty rok oducza ojca palić.

Potem był w projekcie łańcuszek do zegarka. Ale zegarek ojca wisi zawsze w kuchni nad stołem, wobec tego i ten projekt upadł.

W końcu gadano o wiecznym piórze. Ten projekt jednak również nie doszedł do skutku, ze względu na to, że ojciec bardzo rzadko ma z pisaniem do czynienia.

Wreszcie mama zadecydowała sama. W dniu imienin ojciec otrzyma serwis na sześć osób i wiaderka do kuchni.

Z kolei ojciec zaczął myśleć co kupić mamie na imieniny. Z pierścionka musiał zrezygnować, ponieważ najtańszy był za drogi. Dyskusje przeciągały się. Wymieniano różne rzeczy: suknie, pantofle, swetry, rękawiczki, a nawet srebrnego lisa, oraz ...płaszcz karakułowy.

W dzień imienin mama była bardzo zaintrygowana.

Widziała, jak ojciec coś przyniósł, ale co? Nie mogła odgadnąć. I nikt w ogóle nie miał pojęcia jaki prezent da mamie ojciec.

Po życzeniach i pocałunkach i tak dalej — ojciec wyszedł na chwilę i wrócił z prezentami.

Ofiarował mamie wieszak do przedpokoju, dywanik na podłogę przed łoże małżeńskie i żarówkę do śpiżarki.

Pud.

ZNAK

Nowela

Głucha jesienna noc. Pełna deszczowego wichru i mgły otaczającej wszystko dokoła. Świat zagubiony w gęstej białej powłoce uciekającej nocy.

Express Nr. 202 pędzi w noc ciemną, wyrzucając z komina snopy iskier, targane przeraźliwym wyciem wiatru. Długi stalowy wąż wagonów mknie po szynach — zgubionych we mgle — przerzucając się z zakrętu na zakręt — mija małe stacyjki pogubione wzdłuż linii z hukiem rozpędzonego żelaza.

Tylko długi przeciągły krzyk syreny parowozu, rozbija mgłę a potem ginie w głębi lasów.

Express nadrabia spóźnienie.

W cichych ciepłych przedziałach, pali się dyskretne światło, ludzie śpią lub rozmawiają półgłosem paląc papierosy, wsłuchani w rytm pociągu — za oknami zamszonymi strugami deszczu — zostawiają daleki świat, zadławiony wichrem jesiennym.

Dziki rytm kół tworzy jakąś piekielną melodię wśród zawodzenia deszczowego wichru. Małe krople tańczą na szybach w takt kół, zielone i żółte światła wyłaniają się jak widma a potem giną gdzieś daleko — zapomniane rytmem pędzącego pociągu.

— — — — — — — — — — — — — —

Czerwony żar bije z kotła parowozu; nachyleni ludzie dosypują węgla długimi łopatami — sylwetki ostro rysują się na tle rozpalonego pieca.

Starszy maszynista Evans, patrzy przez małe okienko poprzez mgłę w ciemną noc, na jasną smugę głównego reflektora. Snop światła błądzi w przestrzeni i urywa się już po kilkunastu metrach — deszcz chlapie w szybę, Evans wyciera szmatą i znowu patrzy.

Wskazówki manometrów drgają nerwowo.

— Psia pogoda — krzyczy poprzez wiatr — tamci potakują głowami — tkwiąc na swoich miejscach.

Zegary osiągnęły maksimum.

Express nie może mieć spóźnienia, jest najlepszym pociągiem Północno-Amerykańskiej Linii. Evans wychyla się przez boczny obserwator i wpatruje się przenikliwie w głąb ciemności, potem wraca do środka i obciera mokrą twarz rękawem.

Mgła staje się coraz gęstsza.

Maszynista woła jednego z palaczy i obaj pilnie obserwują boczną linię, przeznaczoną dla sygnałów. Wtem jeden z nich woła coś i łapie Evansa za rękę, pokazując mu przez okienko smugę światła wtopionego w głębię nocy. Evans wychyla się przez boczne okienko i oczom swym nie wierzy. Na tle białej, gęstej mgły, gdzie załamuje się światło coś jakby rozkrzyżowane ręce i głowa, tworzą dziwny cień.

— Przewidziało mi się — mruczy maszynista i znowu spogląda przez obserwator — cień nadal tkwi w tym samym miejscu.

Ludzie skupieni przy obserwatorze — patrzą na cień biegnący przed nimi, przód maszyny rozbija białą lepką mgłę i wrzyna się swym cielskiem w otchłań ponurej nocy. Raz po raz odzywa się urywany gwizd lokomotywy, odpowiada mu wycie wiatru a deszcz wpada do wnętrza maszyny, tworząc kałuże.

Wagony patrzą ślepymi oknami.

Evans jeszcze raz wychyla się i szuka wzrokiem sygnałów.

Biała pustka wokoło.

Upiorny cień wisi na mgle — starszy maszynista Evans jest zdecydowany, zamyka dopływ pary, express zwalnia biegu.

Jeszcze dudnią koła na podkładach — pociąg utracił szybkość, masa żelaza toczy się po gładkich szynach, dreszcz hamulców przeleciał po wagonach a potem ostry zgrzyt zawtórował uderzeniom kół.

Pociąg stanął we mgle.

Ludzie zeskakują z maszyny i biegną do przodu patrzą w górę na głowicę reflektora.

Na białej szybie reflektora leżą przylepione dwa liście.

Z mgły wyłaniają się ludzie i krzyczą coś w stronę parowozu.

Naprzeciwko, na tym samym torze majaczy wielki przód maszyny drugiego pociągu.

Krzyki ludzi giną we mgle...

Jotka

NA SCENACH I SCENKACH

„Kuzynek z księżyca"

operetka w 3-ch aktach wg komedii Maksa Kempnera — Hochstadt w Teatrze miasta Warszawy.

Na przykładzie ostatniej premiery Teatru miasta Warszawy można wyraźnie stwierdzić, że tego typu operetka przeżyła się zdecydowanie. Wszystko to jest straszliwie nudne, od wodnistego libretta H. Hallera i Rideamusa (przekład Tadeusza Wołowskiego), pozbawionego zupełnie humoru i sentymentu, aż do taniutkiej muzyczki (Edwarda Künecke) włącznie. Jedynym momentem, kiedy warto się obudzić, jest wstawka baletowa „Hawaje", co wydaje się być zasługą raczej gustownych dekoracyj prof. Jarockiego i efektownych ewolucyj tanecznych układu baletmistrza Fortunato.

Widz współczesny może jeszcze mieć sentyment dla starych operetek Straussa czy Lehara, dla ich wiecznie młodych i uroczych melodii, ale trudno mu znieść przestarzałą formę operetki, w której banał pogania banałem.

Gdybyż tak dyrekcja zechciała nam sprezentować jakąś dobrą komedię muzyczną w rodzaju „Rozkosznej dziewczyny" czy też „Mojej siostry i ja" Benatzky'ego. Przecież komedie muzyczne miały u nas zawsze szalone powodzenie (Jim i Jill), a forma ich, odrzucająca całą operowo-operetkową sztuczność, daje w sumie i muzykę i słowo, które logicznie się uzupełniają. I rzecz ważna: do komedii muzycznej mamy aktorów i to aktorów doskonałych, do operetki nie.

Zawsze młoda i zawsze urocza pani Messal reprezentuje klasę, która uratuje najbardziej nikłą operetkę. Pani Messal nawet z tak błahej i w gruncie rzeczy niesympatycznej roli, jak Klotylda O'Broock, potrafi zrobić małe arcydziełko wdzięku i naturalności. Ta nasza ciągle bezkonkurencyjna artystka warta jest, aby dla niej specjalnie wystawić jakąś operetkę.

Pan Redo z obrażoną miną „odstawia" lokaja. Jeżeli się ma inne aspiracje, to się rolę odrzuca, ale skoro już się przyjmuje, trzeba ją grać uczciwie!

„Słowik Warszawy", pani Lucyna Szczepańska, pięknie śpiewa, choć nie bardzo ma co, uroczo wygląda i zapewne zagrałaby Julię de Weert bez zarzutu, gdyby nie straszliwy partner, który kładzie wszystkie jej sceny.

Skąd nagle wytrzaśnięto tego pana Jabłońskiego? Ani głosu, ani warunków, ani aktorstwa. Jest w ogóle tajemnicą skąd się biorą osoby, którymi nas się ostatnio na scenie raczy, podczas gdy prawdziwi aktorzy kelnerują.

Miły p. Szczepański ratuje płeć męską werwą i humorem, szkoda, że go mało na scenie.

Pani Xenia Grey garbi się ciągle i niestety przypomina Olę Obarską, co w żadnym wypadku nie można uważać za komplement.

Pan Slaski już się zdążył zmanierować, jest ucharakteryzowany na tyfus plamisty i stanowczo o wiele... za słodki.

Pan Kielarski sumiennie gra Franciszka, pan Petecki szarżuje, źle obsadzony.

Reżyseria żadna, ani jednego pomysłu, kompletny brak inwencji, tak samo jak układy pana Cieplińskiego. A już tzw. „podrygałki" taneczne duetów aktorskich zupełnie amatorskie.

Prof. Jarocki, jak się rzekło, pięknie wyczarował Hawaje, natomiast inne akty przypominają wieczór składkowy na operę.

Orkiestra pod wytrawną batutą p. Bierdiajewa spisywała się chwacko.

Pud.



Primadonna Teatru miasta Warszawy „słowik Warszawy" p. Lucyna Szczepańska.



Scena finałowa III. aktu operetki „Kuzynek z Księżyca". W środku: królowa operetki polskiej, Lucyna Messal.



Oto grupa tancerek, które wykonały tańce ludowe układu dyrektora Cieplińskiego.

Fot. Łuczyński

Największy z warszawskich teatrzyków rewiowych „Niebieski Motyl" wystąpił w tych dniach z premierą nowej rewii. Poświęcono ją w równej części humorowi, dobremu tańcowi i pięknej muzyce.

Skecze w „Niebieskim Motylu" to zawsze prawdziwe „bomby" śmiechu, choć często bardzo pikantne, opierające się na dwuznacznikach. Muszą wypaść dobrze, gdy grają w nich tacy championi humoru, jak Antoni Fertner i Józef Orwid, a sekunduje im piękna Ina Benita.

Śpiew reprezentuje srebrnogłosa Sława Bestani i świetny tenor opery Stanisław Gruszczyński, oddający nam romantyzm starego miasta w sentymentalnej piosence o miłości i wspomnieniach.

Rewia wystawiona została przez p. Ortyma, który podobno jest talentem nielada. Ma on być żeby tak powiedzieć „do wszystkiego". No i trudno w to wątpić, jeżeli prowadził także teatr dla dzieci, sam robi teksty literackie, sam gra itd. itd. (sk)





Groteskowa scena baletowa z „Zaczarowanego Fletu", układu baletmistrza Zajlicha, w teatrze „Nowości" w rewii „System à la Dodek".



...poczem i on i łódź powraca do normalnego położenia.

Taki obrazek mogliśmy zaobserwować latem także na Wiśle, wśród doświadczonych i wytrenowanych kajakowców. Zdjęcie to wykonał fotograf niemiecki pod wodą specjalnym aparatem. Zanurzony i „wywrócony" kajakowiec kilkoma poruszeniami kajakiem przedostaje się na drugą stronę kajaka (patrz obrazek na przeciwległej stronie u góry)...

Nurek i fotograf spotkali się. Kleszcze na nosie zabezpieczają przed dostaniem się wody do nosa.

A tu jeszcze pewien trick dla tych, którzy wysiadają pod wodą. Sportowiec, będąc już pod wodą, wkłada głowę w otwór siedzeniowy, gdzie przez pewien czas jeszcze może przebywać, oddychając powietrzem tam nagromadzonym, poczem wynurza się na powierzchnię, wywołując ulgę widzów, którzy myślą, że śmiałek zatonął.

Fot. Dr. W. Strache

Wiadomo, że nie ma narodu bardziej obeznanego z wodą i to w dodatku z wodą bardzo zimną, jak Lapończycy. Na swoich kajakach wydziwiają oni różne sztuki umiejąc również znikać z nimi pod wodą i przepływać dłuższą przestrzeń, by potem znowu wypłynąć w innym miejscu. Te sztuki kajakowe nie są jednak wyłącznym przywilejem Lapończyków, lecz również w Europie są ludzie, którzy dokonywują ich w sposób nie mniej zgrabny. Potrzeba do tego oczywiście dużej wprawy i... dobrych płuc.

ESKIMOSKI KAJAK NURKUJE..

Po złoto korsarzy
z życia awanturnika

16 ciąg dalszy.

POWIEŚĆ MIECZYSŁAWA SZYMCZAKA

STRESZCZENIE DOTYCHCZASOWYCH ODCINKÓW

Antykwariusz Brzozowski ma pewnego razu dziwny sen. Śni mu się, że w staroświeckim biurku, które znajduje się w jego antykwarni, złożone są plany, skarbów, ukryte przed kilkuset laty przez podskarbiego krakowskiego Bonara który miał swą siedzibę w Ogrodzieńcu, na jednej z wysp hiszpańskich. Sen staje się rzeczywistością. Brzozowski znajduje naprawdę plany, ale za pośrednictwem służącej zostają one skradzione, przy czym włamywaczy było dwóch. Brzazowski ma siostrzeńca nazwiskiem Nowak. Jest on kierownikiem agencji pocztowej na prowincji. Kocha on sekretarkę przemysłowca Ochockiego, Ryśkę. Nowak, powiadomiony przez swego wuja, przyjeżdża do niego i dowiaduje się o kradzieży planów. Jednak na podstawie opisu ich przez wuja rysuje drugi. Wskutek nieszczęśliwego wypadku wuj jego umiera i Nowak zostaje sam. Postanawia odnaleźć skarby i w tym celu wybrał się do Ogrodzieńca, gdzie znalazł prawdziwe plany. Z hr. Zarembą, dziwakiem, który finansuje wyprawę, wybrał się w podróż po skarby. Również Ochocki, zdobywszy skądś kopie planu, pojechał także zabrawszy ze sobą Ryśkę i jakiegoś podejrzanego wspólnika. W podróży nastąpiło między obu wspólnikami zerwanie, spowodowane telegramem z Europy, że plany są fałszywe. Między dyrektorem natomiast i Ryśką następuje zbliżenie. Na Maderze spotykają się niespodziewanie obie wyprawy; Ochocki zrezygnowany wskutek niepowodzeń, jakich doznał, wraca sam, gdyż Ryśka, poznawszy swój błąd, zrywa z nim umowę i czeka na inny statek, a Nowak i Zaremba ruszają dalej z przewodnikiem i tragarzami.

A szczyt musieli zdobywać, bo według zapisków Bonara, skarb znajdował się w jaskini na wysokości około 3.000 m nad poziomem morza. Skonfrontowanie tej wiadomości z rzeczywistością skłaniało do wysuwania przypuszczeń, że Bonar mówił prawdę, bo rzeczywiście w jednym ze szczytów Pico de Teyde, zwanym El Pitón, znajdowała się na wysokości 3.368 m jaskinia. Innej większej jaskni na wyspie nie było, zatem tylko w niej mógł się znajdować skarb. Ta właśnie jakinia była celem podróży Nowaka i Zaremby.

Wykreśliwszy na mapie trasę marszruty jeszcze tego wieczoru, udali się wcześnie na spoczynek, aby następnego dnia wczas rano wyjechać samochodem do małej osady Tonarez, skąd pieszo trzeba było wdzierać się na szczyty Pika.

Zamówiony na czwartą rano szofer, przybył punktualnie. Zaremba i Nowak niecierpliwie czekali nie niego. Zaopatrzeni we wszystkie potrzebne narzędzia odjechali w kilka minut po czwartej.

Wspaniała szosa, wijąca się serpentynami wśród uprawnych pól, pięła się w górę. Samochód z wysiłkiem, co chwila zmieniając biegi, wdzierał się na zbocza Pika, które, w miarę wznoszenia się nad poziom morza, stawały się coraz dziksze. Pola ustępowały miejsca pastwiskom, wśród których sterczały skamieniałe wypryski lawy.

Po półgodzinnej jeździe samochód zatrzymał się w Tonarez. Było to skupisko kilkunastu chałup ludzkich, malowniczo porozstawianych na wschodnim zboczu Pika, w odległości około piętnastu kilometrów od Garachico, portu Teneryfy. Tu oczekiwali na Zarembę i Nowaka przewodnik i tragarze, którzy podjęli się za dość wysoką zapłatą towarzyszyć Polakom na szczyt wulkanu. Dowodził nimi stary Hiszpan, Lachiero, który podobno znał doskonale wejście na Pico de Teyde i niejednokrotnie wdzierał się na niego z turystami.

Ujrzawszy Zarembę i Nowaka skłonił się im nisko i gardłowym dźwiękiem: uach, dał rozkaz do wymarszu.

Ruszono.

Kawalkadę otwierał przewodnik. Za nim postępowali Zaremba i Nowak oraz ośmiu tragarzy.

Mimo, że droga była bardzo uciążliwa, obaj poszukiwacze skarbu Bonara byli w świetnych humorach. Ochoczo wspinali się krętą, kamienistą ścieżką na poszarpane w fantastyczne linie zbocza wulkanu, aż stary przewodnik musiał ich wstrzymywać:

— Czeka was ciężka droga. Oszczędzajcie sił.

— Jak wy wyjdziecie, to my chyba też! — odparł Zaremba, ale wstrzymał towarzysza, czemu Nowak nie sprzeciwiał się, bo poczuł lekkie zmęczenie. Kilkanaście minut marszu po kamienistej drodze po zboczu o nachyleniu 30 stopni wyczerpywało fizycznie.

— Ciekawe, jak długo musimy się wspinać do tej jaskini? Zapytał przewodnika.

— Dwa dni!—powtórzył hrabia słowa Lachiera.

— Hm...

Nowakowi wydało się to nieprawdopodobne. Przekonywał się jednak, że stary ma rację, bo szli już przeszło godzinę, a Tonarez zostawili za sobą w odległości może półtora do dwóch kilometrów.

Byli już zupełnie zmęczeni, gdy przewodnik zarządził odpoczynek. Zatrzymali się przy kilku pasterskich szałasach na niewielkiej łączce. Zaremba upadł na trawę. Chory na płuca nie był zdolnym do wielkich wysiłków fizycznych. Zaniepokoiło to Nowaka. Zapytał:



— Dasz radę?

— Muszę! Przyjechać taki kawał po to, aby pozostać tylko biernym widzem, byłoby nonsensem! Choć na czterech, ale wlezę! Gra warta świeczki!

— Powiedz mu, aby częściej robił odpoczynki i wolniej prowadził!

Przewodnik usłyszawszy prośbę Zaremby, uśmiechnął się złośliwie i mruknął coś niezrozumiale, ale po odpoczynku zwolnił tempo. Zresztą było to konieczne ze względu na tragarzy, którzy musieli zdobywać się na wielki wysiłek, aby wspinać się z ciężkimi tobołami na górę, bo droga z każdym krokiem stawała się uciążliwsza. Właściwie szli już po bezdrożach, gdyż ścieżka prowadziła tylko do szałasów. Powyżej pasterze nie zapuszczali się nigdy, chyba tylko za zaginioną owcą. A i niewielu było turystów, którzy mieli ochotę wdzierać się na ten dymiący gazami siarkowymi kocioł. I choć szlak był wytknięty, nie było żadnej ścieżki. Szli więc po bezdrożach, stawiając stopy na porowatych blokach skamieniałej lawy, poszczerbionych działalnością wody, powietrza i różnicami temperatur. Każdy krok należało dokładnie przemyśleć, aby przypadkiem nie postawić nogi na jakimś zwietrzałym okruchu, który lada chwila mógł oderwać się i narazić wspinającego się na upadek, a co gorsza na stoczenie się w ciągu kilku minut do Tonarez. W ten sposób czynność chodzenia, która na nizinach jest czynnością zupełnie zmechanizowaną, tam stała się pracą nie tylko nóg, ale i mózgu, co niezmiernie wyczerpywało.

W niektórych miejscach trzeba było przekroczyć zastygłe strumienie lawy o szerokości kilku a nawet kilkunastu metrów. Lawa ta o szklistej powierzchni szarozielonego koloru odpadków rudy żelaznej była największym utrapieniem turystów, bowiem będąc śliską jak szkło nie dawała nogom żadnego oparcia. Trzeba ją było przechodzić przy użyciu lin, rozciąganych przez przewodnika i tragarzy. Każde przejście zabierało dużo czasu i wyczerpywało fizycznie a w nieznacznym stopniu zbliżało do celu.

— Nie dziwię się, że trzeba dwa dni wspinać się na szczyt — rzekł Nowak.

— Zdaje się, że dobrze będzie, gdy dostaniemy się na niego w ciągu trzech dni! — dysząc wyszeptał Zaremba.

— Przecież nie zależy nam na czasie- Możemy pozwolić sobie i na trzy!

W południe, gdy upał porządnie zaczął im dokuczać, zatrzymali się na dłuższy odpoczynek. Rozłożyli się wygodnie w wielkiej niecce w cieniu skalistego cypla zwanego Ponton Cabreconaz. Tragarze rozpalili ognisko i zaczęli gotować herbatę. Gdy na słońcu panował gorąc, w cieniu było stosunkowo zimno, choć znajdowali się dopiero na wysokości tysiąca pięciuset metrów nad poziomem morza. Nowak dbały o zdrowie Zaremby rozłożył mu przy ognisku pled i podał gorącej herbaty.

— Wykończyłem się już! — szepnął hrabia.

Zmartwiło to Nowaka. Był przekonany, że hrabia nie wydrapie się na szczyt Pika, należało go więc namówić do powrotu do Garachico, a przynajmniej do Tonarez. Ale wiedział, że Zaremba wspina się tylko dla samej przyjemności wspinania się, że zdobywa się na wysiłek tylko po to, aby będąc na szczycie móc powiedzieć sobie: nie jestem jeszcze taki chory, skoro wlazłem na tę skałę. Aby nie zepsuć towarzyszowi tej przyjemności, nie zaproponował mu powrotu i postanowił dołożyć wszystkich starań, aby znalazł się na szczycie El Pitón.

— I ja już ledwie nogami włokę! — pocieszył go Nowak.

— Odpoczniemy, nabierzemy sił! Patrz, że i nasz przewodnik wygląda jakby sto kilometrów biegiem przeszedł.

— Co się dziwić, że jesteśmy zmęczeni. Skała pionowa, że się ledwie nosem stojąc prostopadle nie zawadza o nią. Do tego ani kawałka jakiejś ścieżki. Ale wejdziemy! Na Mount Everest ludzie się chcą wedrzeć, a my na tego głupiego Pika nie wejdziemy?!

Wejdziemy, wejdziemy — zapewniał cicho Zaremba sennym głosem. Nie wyspał się należycie w nocy i teraz poczuł nieprzepartą chęć oddania się w objęcia Morfeusza. Nowak nie przeszkadzał mu i hrabia zdrzemnął się.

Tragarze posiliwszy się usiedli zwyczajem arabskim w kuczki koło ogniska i zapatrzeni w jego czerwone błyski zaczęli mruczeć jakąś miejscową pieśń.

Nowak siedział koło śpiącego Zaremby i bezmyślnie wpatrywał się to w tragarzy, to w bielejący w słońcu szczyt Pika. W umyśle jego pojawiały się jakieś mgliste obrazy. Nie zatrzymywane uwagą przepływały swobodnie przez jego świadomość i ginęły w mrokach niepamięci. W końcu i on poczuł, że powieki zaczynają mu ciężyć, że ogarnia go bezwład. Jednostajna pieśń tragarzy, jak szum deszczu, jak szmer strumyka, stępiła jego nerwy. I on usnął.

Głośny okrzyk Lachiera „uach" zbudził Nowaka i Zarembę z drzemki. Zerwali się na równe nogi. Była godzina czwarta po południu. Słońce przechyliło się na zachodnią część nieboskłonu i nie dogrzewało już mocno. Panował miły chłód nawet na zboczach nie osłoniętych przed jego promieniami. Przewodnik uznał więc, że czas wyruszyć w dalszą drogę. Tragarze ustawili się przy swoich pakunkach i wszystko było gotowe do odmarszu.

Ruszono.

Za cyplem Ponton Cabreconaz skręcili lekko w lewo, tak że Garachico mieli po lewej stronie. Droga nie była tu taka uciążliwa, jak na poprzednio przebytym odcinku, posuwano się więc raźno naprzód. Zaremba po odpoczynku czuł się zupełnie dobrze, Nowak jakby dopiero ruszył. W krótkim czasie mogli przebyć znaczny odcinek drogi. Tak też się stało. Mimo to szczyt Chahorra pozostawał nadal w niezmiennej odległości, jakby odsuwany nieznaną siłą.

— Powietrze przeźroczyste. Zatraca się poczucie perspektywy.

Niedługo jednak mieli względnie wygodną drogę. Po paru kilometrach znowu spiętrzyły się przed nimi zwały skał i ukazywać się zaczęły głębokie szczeliny, ziejące gazami. Przewodnik, który okazał się mistrzem instynktem pierwotnego człowieka odnajdywał najwygodniejsze przejścia w tym labiryncie prostopadłych bazaltów i rozpadlin i wytrwale podciągał wyprawę w górę. Chciał koniecznie rozłożyć obozowisko jak najbliżej Chahorry, aby być zabezpieczonym przed wyziewami gazów, których główne gniazda znajdowały się na wysokości dwóch do dwóch i pół kilometra. Ale szczyt był jeszcze daleko. Z tego powodu Lachiero wpadł w zły humor, co odbijało się na tragarzach. Zaremba czekał jak rychło do niego dobierze się przewodnik, który odgrywa w górach taką rolę, jak kapitan statku na morzu. Na razie jednak nie czepiał się on hrabiego, mimo że ten wyraźnie ustawał i, choć nie przyjął pomocy Nowaka, gonił resztkami sił. Nie upadł jednak na duchu i sam sobie dodając otuchy szeptał:

— Nie jestem jeszcze takim dziadem! Wejdę, muszę wejść!

Około godziny siódmej wieczorem wyprawa znalazła się zaledwie dwieście metrów pod szczytem Chahorra. Ponieważ nie było tu wygodnego miejsca na rozbicie obozu, przewodnik zdecydował się na sforsowanie jeszcze około stu metrów, gdzie, według jego zapewnień, znajdowała się niewielka kotlinka, doskonale nadająca się do przenocowania.

Ale przebycie tych stu metrów nastręczało wiele trudności. Trzeba było wspinać się po gładkiej jak szkło ścianie, gdzieniegdzie tylko posiadającej występy, przy pomocy lin i klamer. Tragarze zaczęli więc przygotowywać potrzebne do wspinania przyrządy, a Lachiero wyszukiwać odpowiedniego miejsca do wejścia. Rozglądając się uważnie po prostopadłym zboczu, zauważył on nagle wysoko nad głową jakiś kształt, ciemną masę, która staczała się w dół z szybkością lawiny.

— Człowiek! — krzyknął przerażony przewodnik.

Wszyscy unieśli głowy w górę. Kilkanaście metrów nad nimi koziołkując toczył się w przepaść nieostrożny turysta. Żył jeszcze, bo widać było jak ręce jego szukają oparcia na występach skalnych, jak sztywne nogi starają się znaleźć punkt oparcia. Ale nadaremnie. Szybkość, z jaką spadał w przepaść, uniemożliwiała mu uchwycenie skalistej podpory. Jeszcze moment, a spadnie do stóp turystów, zamieniony w bezkształtną masę.

Nowak zamknął oczy. Nie chciał widzieć upadku tego człowieka z wysokości kilku metrów pionowego zbocza. Zamknął i chwil parę dziwił się, dlaczego nie słyszy głuchego łoskotu, towarzyszącego upadkowi. Gdy wyczekiwanie zdało mu się wiekiem, otworzył oczy i ujrzał tuż nad swoją głową na górnej krawędzi ściany zaczepiony tłomok ludzki. Nie upadł.

Nowak odetchnął z ulgą.

Czy żyje?

Nikt tego nie wiedział.

Przewodnik z dwoma tragarzami zaczął się wspinać, aby odczepić nieszczęśliwca, który zawisnął nad przepaścią na kurtce. Przy pomocy lin zniesiono go w ciągu kilku minut na dół.

Żył, ale utracił przytomność. Skórzana kurtka, w jaką był ubrany, uratowała mu życie.

Zaremba, choć sam ledwo trzymał się na nogach, zajął się cuceniem ocalonego. Przy pomocy przewodnika szybko mu się to udało, tak że w kilkanaście minut później chory otworzył oczy i przytomnie rozglądał się dokoła. Tymczasem Zaremba opatrywał jego stłuczenie. Cały był obity, że nie można było na nim znaleźć niestłuczonego miejsca, ale nigdzie nie krwawił. Tylko trochę z nosa i ust sączyło mu się krwi. Hrabia przy pomocy swej podręcznej apteczki pozakładał mu opatrunki i poowijanego w kilometry bandaży ułożył na kocach.

— Dalej chyba nie pójdziemy?! — zapytał Zarembę przewodnik.

— Niepodobna! Przecież tego nie możemy zostawić!

Lachierowi nie przypadło do gustu nocowanie na stromym zboczu Chahorry. Klął w duszy tego oberwańca, któremu zachciało się nie wiadomo po co włazić na górę, a potem lecieć z niej na łeb w dół i nie zabić się, ale nic się nie odzywał. Zaczął szukać jakiegoś możliwszego miejsca na rozbicie obozu.

— Tylko ty przynajmniej tak nie zrób, jak ten! — upomniał go Zaremba, bo byś się zatrzymał dopiero w Garachico i nic by już z ciebie nie było.

— No, przecież muszę poszukać lepszego miejsca na nocleg. Tu ani gdzie namiotu rozbić...

Odszedł.

Nowak nie mógł jeszcze zapomnieć o przygodzie nieznajomego, który już zupełnie przyszedł do siebie. Próbował się nawet podnieść. Gdy jednak Zaremba nie dał mu tego czynić, położył się z powrotem na miękkie koce i zapadł w jakiś pół sen.

— Ma szczęście! — mruknął Nowak.

— Nie chciałbym takiego mieć. Ale w każdym razie dziwny przypadek. Zatrzymać się tuż nad skrajem przepaści, bo nie każdemu się udaje.

Jeszcze chwilę rozmawiali ze sobą na temat tego cudownego niemal, bo zdarzającego się raz na tysiąc, przypadku ocalenia, gdy wrócił z poszukiwań Lachiero. Widocznie znalazł jakieś lepsze miejsce do przenocowania, bo rozchmurzył swe oblicze i z daleka krzyczał:

— Parę kroków na prawo można rozbić namioty.

Tragarze zabrali swe pakunki, przewodnik z Nowakiem rannego i zboczyli z trasy. Parę kroków Lachiera było w rzeczywistości sporym szmatem drogi. Ponieważ jednak szli wzdłuż poziomic, szybko go przebyli i znaleźli się w jakimś starym, wygasłym kraterze o średnicy ośmiu do dziesięciu metrów. Nowakowi nie zdawał się on bardzo bezpiecznym schronieniem, ale polegał na doświadczeniu przewodnika, który na pewno nie wprowadziłby ich w niepewne miejsce.

— Chłodnawo tu będzie! — zauważył Nowak.



„Rozkosze macierzyństwa" — na targu rumuńskim.

Fot. H. A.

— Nic dziwnego! Przecież prawie trzy tysiące metrów nad poziomem morza. Żeby tylko nie kapało co, bo tego trzeba się w każdej chwili spodziewać. Ale pod namiotem...

— Nic nam się nie stanie! Owiniesz się dobrze pledami!...

Ponieważ nikt nie umiał rozpalić maszynki spirytusowej, Nowak zajął się tym, gdy tymczasem tragarze rozpinali płótna namiotów. Zwijano się raźno, aby jak najprędzej znaleźć schronienie przed zimnem pod namiotami, bo bardzo się ochłodziło. Co prawda namioty nie były świetną ochroną, ale stwarzały iluzję, że się nie jest pod gołym niebem.

Wkrótce nocleg był przygotowany, kolacja również i w obozie zapanowała cisza. Wszyscy układli się do snu, aby po dniu ciężkiej wspinaczki dać odpoczynek utrudzonym mięśniom.

Namiot Zaremby i Nowaka stał o kilka kroków od namiotu tragarzy. Było im w nim zupełnie wygodnie i pod kilkoma kocami ciepło. Nic też dziwnego, że po paru minutach głos Zaremby stał się senny, przerywany od czasu do czasu głośnym ziewnięciem. Hrabia usnął.

Nowak nie mógł jakoś pogrążyć się we śnie. Nie przyzwyczajony do spania w dzień po dzisiejszej południowej drzemce daremnie starał się zamknąć utrudzone powieki. Sen nie przychodził. Odgiął więc jedno skrzydło namiotu i zapatrzył się w konstelacje gwiezdne, zawieszone gdzieś wysoko w mroźnych głuszach przestworza. W świadomości jego zaczęły się pojawiać różne obrazy, wśród których dominowało wyobrażenie Ryśki. Mimo że postanowił sobie nie myśleć o niej, w chwilach bezczynności zjawiała się w jego mózgu myśl o niej. Nie odganiał jej wtedy od siebie. Tak i teraz nie odpędził od siebie widma tej dziewczyny, którą ukochał nad wszystko, dla której przywędrował aż tutaj, by przekonać się, że ona należy do kogo innego. W trakcie działania przekonał się, że jest ono bezcelowe. Za późno się było wracać. Pozostanie więc wiernym powziętej myśli i dołoży wszystkich starań, aby stała się ona rzeczywistością.

Dalszy ciąg nastąpi



Powyżej: zabiegi dentystyczne przed psią wystawą piękności.



Powyżej w kole: Po kąpieli schną nieszczęśliwe ofiary w skarpetkach pana domu!



Na lewo: pies z parasolem. Oto najdziwaczniejszy chyba pomysł amatorów tej rasy.

Fot. Ass. Press



Poniżej: Pies w stroju królewskim. To śmieszna karykatura robiąca przykre wrażenie.



Na prawo: Po zabiegu kosmetycznym, który nie był dla nich przyjemnością, wypoczywa wielkolud i pigmej psiej rasy.

BIEDNY PSIE co z ciebie zrobili?!

Każdą przesada jest rzeczą złą, nawet przesada w dobrym: każdy z nas na pewno miał swojego ulubionego psa, który był mu towarzyszem i przyjacielem, nieraz nawet bliższym od niejednego przyjaciela-człowieka. Ale i w tej sympatii do psów musi być pewna miara. Jakżeż śmieszne i wręcz idiotyczne robią wrażenie ci wszyscy, którzy otaczają psy miłością należącą się właściwie ludziom! Ileż to powstało różnych „instytutów piękności dla psów", gdzie nieszczęśliwe czworonogi poddawane są mękom upiększającym! Ba! powstały nawet cmentarze dla psów jak np. w Paryżu, na którym widnieją pomniki, których by nie powstydził się niejeden ludzki nieboszczyk. Wszystko to razem wzbudza w rozsądnym człowieku pewnego rodzaju politowanie i wstręt, bo każda przesada staje się szkodliwą i głupią.

Fort DIX tańczy SWINGA

Amerykanie jako ludzie bardzo oryginalni i mający swoje indywidualne poglądy na wiele rzeczy ujmują również życie wojskowe inaczej jak to się dzieje w Europie. Bo poza ćwiczeniami, marszami, strzelaniem do celu itd., urządzają sobie raz poraz miłe towarzyskie zebrania odbywające się w koszarach przy udziale płci pięknej, która jak wiadomo czuje we wszystkich krajach sentyment do munduru.

Na naszych zdjęciach widzimy taką imprezę towarzyską w znanym amerykańskim forcie Dix.



W kole: — Czy Pani zemną zatańczy? pyta młody amerykański żołnierz swojej towarzyszki dancingowej.



Na lewo: Jeden z najmniejszych żołnierzy Ryszard Engel tańczy ku ogólnemu rozweseleniu swoich kolegów z Henriettą Goldbay przewyższającą go o głowę.

Poniżej: A oto improwizowany oryginalny taniec cieszący się dużym powodzeniem wśród amerykańskich synów Marsa.

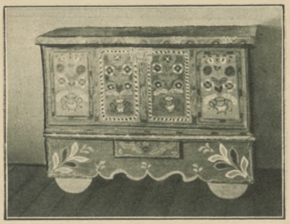


Fot. Ass. Press



A oto zabawa na szkolnym statku „Illinois"

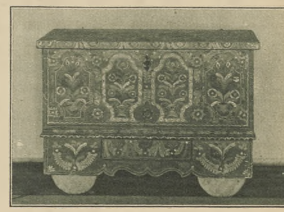
Skrzynie krakowskie



Istniał we wszystkich krajach stary zwyczaj przygotowywania córkom wyprawy i składania jej do dużych skrzyń, w których czekały aż do chwili ślubu. U bogatych rodzin mieszczańskich przygotowywano wyprawy wiele lat przed zamążpójściem. W ten sposób wytworzył się zwyczaj chowania najlepszych rzeczy nie w szafie, a w skrzyni, widocznie odpowiadało to lepiej technice życia włościan, a może było praktyczniejsze, w każdym razie skrzynia jest na wsi u wielu narodów np. Polaków, Szwedów, Rosjan, ale też u narodów zamieszkujących góry nie ozdobą, lecz meblem użytkowym. W takich skrzyniach jeszcze dziś znaleźć można stare czepki złotolite, różne wstążki, obszerne krochmalone spódnice i suknie świąteczne i wiele innych rzeczy.



Oczywiście, że taki zasadniczy sprzęt domowy przyozdabiano różnemi malowidłami. Zwłaszcza niektóre okolice Polski, a więc przede wszystkim krakowskie posiadało bardzo piękne skrzynie malowane w różne kwiaty tak charakterystyczne dla ludowej sztuki. Dzisiaj należą one już do rzadkości, gdyż po większej części albo znalazły się w muzeach i w prywatnych zbiorach, albo wkońcu musiały się poddać tak zwanemu zębowi czasu i znikły z powierzchni ziemi. W ostatnich jednak czasach sztuka ta odżyła znowu i robiono na nowo skrzynie, które jednak może mniej służyły praktycznym celom jak ozdobie. Stało się również modą używanie takich małych skrzynek kolorowo malowanych jako bombonierek. Ciekawą jest rzeczą, że wszystkie prawie sztuki ludowe mają dużo punktów stycznych zachowują jednak mimo to dużo indywidualizmu i odrębności. Na naszych zdjęciach widzimy kilka ciekawszych okazów skrzyń krakowskich.



Dele-Mele dla pani

NIGDY WOBEC DZIECI!

Byłam raz świadkiem takiego wydarzenia: chłopiec 3-letni uderzył ni stąd ni zowąd podczas zabawy swego towarzysza w twarz i byłby jeszcze zatopił swoje pazurki w jego rękach, gdyby matka pokrzywdzonego nie była go prędko odsunęła. Rodzice chłopca, który uderzył, zawstydzili się ogromnie, — gdyż jak się później dowiedziałam — był to już zwyczaj chłopca. Rozumieli też, że należy go od tego odzwyczaić. Ojciec więc najprostszym sposobem dał chłopcu kilka klapsów, a matka w obecności dziecka mówi do męża: Dlaczego go bijesz, on przecież nic złego przy tym nie myśli." A do wrzeszczącego chłopca: „Chodź do mamusi, kochaneczku, mamusia nie bije." Malec zrozumiał naturalnie doskonale, że matka go broni i że ojciec niby niesprawiedliwie go bije. Naturalnie towarzyszów swych i towarzyszki uderzał dalej jak przedtem, bo przecież „on nic złego przy tym nie myśli."

Straszny był błąd tej matki. Jeżeli się jej nawet zdawało tak, jak mówiła, nie powinna była mówić tego przy dziecku, które dla swego bądź co bądź nieładnego zwyczaju znalazło w niej obronę. Niech matki i ojcowie będą bardzo ostrożni w postępowaniu z dziećmi! Ta matka przyczynia się do wykształcenia złych przyzwyczajeń swego dziecka, które dorósłszy, będzie wiedziało, że nie było niczym złym uderzyć kogoś w twarz lub kopnąć. A przyzwyczajenia stają się drugą naturą, stają się charakterem. Zarówno złym jak i dobrym. Zachowanie się tej matki przejęło mnie wielką obawą. Jeżeliby tak wszystko składane było na karb nieświadomości dziecka, to wszystkie złe charaktery byłyby usprawiedliwione. A matki nie zdają sobie sprawy ile winy za charakter ich dziecka i jego całe życie spada na nie. Chciałoby się zawołać głosem wielkim: Matki — wasze dzieci i ich życie — to wasze oblicze!

*

GOTOWANIE NA GAZIE

Ponieważ z powodu wojny bardzo trudno dzisiaj o węgiel, przyjmuje się siłą rzeczy coraz bardziej gotowanie na gazie. Gotowanie i pieczenie na gazie jest bardzo wygodne i przy racjonalnym zastosowaniu także niedrogie.



Jest wielkim błędem gotować przy wielkim płomieniu. Nietylko bowiem zużywa się niepotrzebnie bardzo wiele gazu, lecz bardzo prędko potrawa się wygotowuje i przez to przypala. Pozatem niszczą się przez tyle gorąca wartości odżywcze, a dziś powinniśmy być nastawieni na jak największe ich oszczędzanie, gdyż i tak mamy ich zamało. Racjonalne gotowanie na gazie wygląda następująco:

1) Jedzenie należy zagotować w naczyniu ze szczelną pokrywą przy pełnym płomieniu, poczem przykręca się go bardzo i bez podnoszenia pokrywy gotuje się aż do końca.

2) Jest lepiej polegać na zegarku przy gotowaniu, niż przez ciągłe podnoszenie pokrywki przerywać je. Pani domu zaoszczędzi sobie przytem wiele niepokoju, jeśli pozwoli się przekonać, że przeważna część potraw nie potrzebuje doglądania aż do zupełnego ugotowania. Warunek pozostaje naturalnie ten, że potrawa gotuje się na płomieniu oszczędnym.

Zwłaszcza przy pieczeniu ostrzega się przed zbyt wielką ciekawością. Każde pieczywo ma czas wyznaczony do pieczenia. Jeżeli rurę przedtem się należycie ogrzało i następnie płomień odpowiednio zmniejszono, nie może pieczywo pod żadnym warunkiem sklęsnąć ani się spalić; raczej przez przedwczesne otwieranie rury można mu zaszkodzić.

A teraz jeszcze jedno trochę może śmieszne i zbyt oszczędne. O nie, nie zbyt! o to przecież nam chodzi, bo trudno nam przecież związać koniec z końcem. Zamiast przykrywać naczynie pokrywką, można postawić na nie drugie, z wodą, czy czym innym, co chcemy zgrzać. Naturalnie spód naczynia musi być idealnie czysty. W ten sposób gotując np. kolację, możemy równocześnie na tym samym płomieniu zagrzać wody do zmycia naczyń itp. Proszę się przekonać, ile panie zaoszczędzą gazu!

Jeżeli już jest mowa o gazie, chciałabym jeszcze przypomnieć, że kurki gazowe należy mocno przykręcać, zwłaszcza przed pójściem spać sprawdzić, czy są zamknięte. Właśnie zimą zdarzało się najwięcej wypadków zatrucia nim.

*

BIELIŹNIARKA — DUMĄ KAŻDEJ GOSPODYNI

Dumą każdej pani domu jest szafa na bieliznę. Dzisiaj niebardzo można być tak dumnym jak dawniej, gdyż zupełny brak środków do prania, — do porządnego prania — nie pozwala utrzymać bieliznę tak białą jak przed wojną. Ale może właśnie dlatego, że nie mamy ich wcale i że niewiadomo kiedy będzie można kupić nową bieliznę, tym bardziej powinna każda pani domu dbać o to, by to co jeszcze ma jaknajdłużej utrzymać. Zależy to przede wszystkim od samego prania. Niedawno pisaliśmy na tym miejscu jak należy prać. Powtórzę dzisiaj zwłaszcza jedno wielkie ułatwienie: płukanie bielizny z prochu i brudu przed samym namoczeniem. Woda po takim wypłukaniu bielizny przed praniem staje się czasem wprost czarna, nawet wtedy, jeżeli bielizna nie jest bardzo przybrudzona. Przez takie płukanie unikamy tego, że mydliny stają się po paru większych kawałkach bielizny brudne i reszta bielizny leżąc w takich mydlinach wciąga w siebie ten brud. Chciałabym, aby panie naprawdę choć raz przekonały się, ile brudu zejdzie z bielizny już po samym wypłukaniu. O dalszym praniu nie będę już powtarzać. Wracając do bieliźniarki, chciałabym jeszcze zaznaczyć, że naturalnie bielizna musi być w niej poukładana systematycznie: a więc prześcieradła, powleczenia na kołdry lub pierzyny także osobno, ręczniki z ręcznikami itd. Ważne jest też, by używać wszystkiej bielizny, a nie, żeby jednej używać stale, a inna niech leży. Jest to zła oszczędność, bo bielizna, która długo leży nieużywana, żółknie i trudno ją potem wybielić.

UWAGA! FOTOAMATORZY!



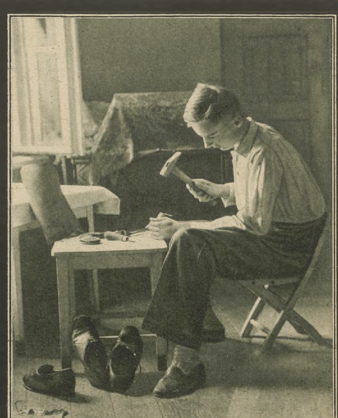
Napłynęła do nas znowu pewna ilość listów z zapytaniami, na które odpowiedź chcielibyśmy dać na tym miejscu, gdyż, być może, przydadzą się te uwagi także innym fotoamatorom. Co prawda samo z siebie wynika, że nasz kącik fotograficzny ma już swe stałe miejsce w Ilustrowanym Kurierze, i że jakkolwiek jest to konkurs, jest on jednak stały. Konkurs nazywa się dlatego, że wybiera się tu najlepsze zdjęcia. Zdjęcia można więc przysyłać w każdym czasie i w nieograniczonej ilości. Temat zdjęć jest zupełnie dowolny, zależny od upodobań fotoamatora. Negatywów czyli zdjęć na błonach nie przyjmujemy, muszą one być zrobione na papierze. Jakkolwiek chcielibyśmy, by każdy fotoamator znalazł swe zdjęcie choć raz w numerze, jest to jednak niemożliwe choćby ze względu na ilość nadsyłanych zdjęć. I. K. P. musiałby być wtedy dziennikiem nie tygodnikiem.

Przechodzimy do zdjęć zamieszczonych:

Pierwsze zatytułowane „Modrzew nad Balicami" wykonał p. M. Skrzynecki z Tarnobrzega aparatem Welti, w czasie 1/250 sek. przesłona F8 i jasny filtr.

Drugie zdjęcie „Majster Klepka" bardzo jest miłe w ujęciu. Wykonał je p. A. Łukawski z Rzeszowa, aparatem Noris, godz. 16 czas 1 sek. przy dużym zachmurzeniu.

REDAKCJA.



ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

Co za nieszczęście! Gdy mama zobaczy te motelki, nie uwierzy mi, że byłam w kinie z tobą.

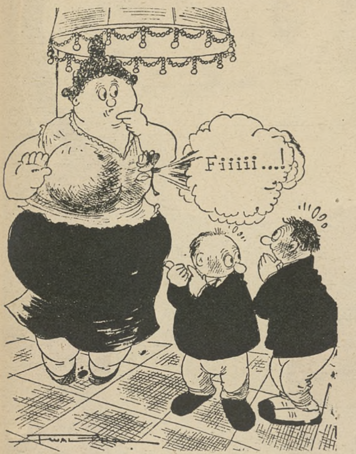
(Marc Aurelio, Włochy)



*

Tak, tak ciociu Karolciu, żadna róża nie jest bez kolców.

(Marc Aurelio, Włochy)



W SZKOLE

Na lekcji gramatyki odmienia nauczyciel: ja myję się, ty myjesz się, on myje się, my myjemy się, wy myjecie się, oni myją się i następnie pyta ucznia: powiedz mi, Jasiu, jaki to czas?

— Sobota wieczór, proszę pana.

*

TEGO JESZCZE NIE BYŁO

— Młody człowieku — mówi starsza dama — może pan wyjmie łaskawie papierosa z ust, jak pan ze mną mówi. Musiał pan nie mieć dziecinnego pokoju, gdzie tego uczą.

— O, pokój dziecinny miałem, ale o papierosach nie było wtedy jeszcze mowy.

*

— Jak pan myśli, czy są też mężczyźni, którzy ukrywają swój wiek, tak jak kobiety?

— O tak! jeden z moich przyjaciół ukrywał swoje lata, ale on miał siostrę bliźniaczkę.

*

— Jak ty się zachowujesz, dziecko? oddam cię do internatu, żebyś się tam nauczyła manier.

— Czy nie mogłabym nauczyć się tego w domu? — pyta dziecko zamyślone.

*

— Pies nie może siedzieć na ławce, proszę pani.

— Może tak samo, jak ja, gdyż kupiłam bilet dla niego.

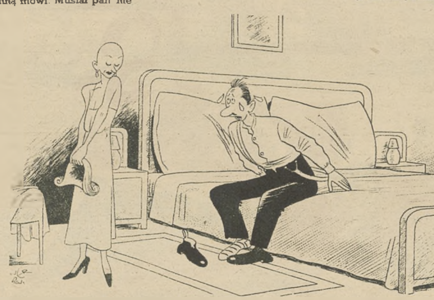
— To niech też spuści nogi jak Pani.



Lekarz: — Nie mogę Panu powiedzieć dokładnie, co panu jest. Czy przypadkiem alkohol nie jest temu winien?

Pacjent: — W takim razie przyjdę jeszcze raz jak pan doktór będzie trzeźwy.

(Extrabladet, Dania)



PODCZAS NOCY POŚLUBNEJ.

— Prawda, kochanie, że i tak jestem dla ciebie też czarująca?

(Marc Aurelio, Włochy)



— Brygido, lekarz jest przy telefonie, pyta, jak ja się czuję. Co mam mu powiedzieć?

(Hjemmet, Dania)

SZACHY

KĄCIK SZACHOWY Nr. 5 (8).

A. DZIAŁ ZADAŃ.

3-chodówka Nr. 5. (8).

Dr. L. N. de Jong (IV nagr. — „Bahn Frei" 1890/1).
Czarne: Ka1, Wb2 a3. (3).
Białe: Kf7, Hc7, Wf4, Gc3 h7. (5).
3-chodówka 5 + 3 = 8.

Studium (końcówka) Nr. 5. (8).

W. A. Korolkow (I nagr. — „Prawda" 1929)
Czarne: Kd1, Ge2, Sa2, piony: b4, f2, h3. (6).
Białe: Kh1, Hf8, Wc2, Gc5 d7, piony: a7, b2, b6, b7, d4 f7, h2. (12).
Końcówka (+) 12+6 = 18.
Białe zaczynają i wygrywają.

Rozwiązanie 3-chodówki Nr. 4 (7) (Arłamowski)
1. H—b2!, 1... Sxb2 (1... W—c2, W—a3, S—f4, S—c5) 2. G—g8 (2. H—a3, Hxa3, H—b4, Hxf2†) i 3. mat.

Rozwiązanie końcówki Nr. 4 (7) (Selman):
1. h4† K—g6 2. gxh5†! K—g7(1) 3. G—d4† K—g8 4. G—g7!(A) Kxg7(2) 5. f4! K—g8 6. S—f6†! K—g7(3) 7. S—d5 remis
(1) 2... Kxh5 ? 3. S—f4 mat.
(2) 4... Wxg7 ? 5. S—f6 mat: 4... Gxg7 5. S—e7† poczem 3. S—g6† wieczny szach.
(3) Po 6... Gxf6 białe byłyby w pacie!
(A) 4... f4 5. S—f6†! i białe wymuszają to samo powtórzenie posunięć.
Wspaniałe studium!

B. DZIAŁ PARTII.

Partia Nr 5. (8).

Białe Capablanca (Kuba) — Czarne: Vasaux (Guatemala)

grana na Olimpiadzie w Buenos Aires 1939.

Gambit hetmana.

1. S—f3	d5	15. G—e1!(3)	f6(4)
2. e3	S—f6	16. H—d3!	f5(5)
3. c4	c6	17. a4	K—h8
4. S—c3	e6	18. g4	Sd—f6
5. d4	Sb—d7	19. G—h4	G—d7
6. G—d3	dxc4	20. W—f3	G—e8
7. Gxc4	G—b4(1)	21. W—h3	H—d6
8. O—O	O—O	22. gxf5	exf5
9. H—e2	H—e7	23. W—d1	cxd4
10. S—e5	c5	24. exd4	H—a3?(6)
11. f4	S—b6	25. G—e6	g6
12. G—b3	Sb—d5(2)	26. G—g5	Sxg5
13. G—d2	Gxc3	27. fxg5	S—e4?(7)
14. bxc3	S—e4	Wxh7!	Czarne poddały się

Uwagi:

(1) Lepsze 7... b5.
(2) Ta próba oswobodzenia okaże się chybioną.
(3) Czarne nie liczyły się z tą możliwością.
(4) 15... Sexc3 16. Hxd3 cxd4 17. exd4 H—c7 18. W—f3! (W—c1? S—e2†!) f6 19. G—c2! (g6? 20. Sxg6!) z wygr. białych. Lub: 15... Sdxc3 16. H—d3 cxd4 17. exd4 H—c7 18. Gxc3 Sxc3 19. Wa—c1 z wygr. białych.
(5) 16... fxe5 17. Hxe4 i pion e5 stracony
(6) Ułatwia białym atak.
(7) Czarne powinny były teraz grać: 27... S—h5! i nie widać bezpośredniej drogi do wygranej mimo niedającej się zaprzeczyć powagi pozycyjnej białych.
(8) Po 28... Kxh7 nastąpi 29. H—h3† K—g7 30. H—h6 mat

KĄCIK SZACHOWY Nr. 6. (9).

A. DZIAŁ ZADAŃ.

3-chodówka Nr. 6. (9).

E. Plesnivy („Narodni Politika" 1938).
Czarne: Kf8, We2 g2, Gc2 f2, Sb2 e1. piony: a2, b5, c5, c7, d7, e6, h6. (14).
Białe: Ka1, H—a3, Ge8 ha8. Sc8 h5, pion: f7. (7).
3-chodówka 7+14 = 21.

Studium (końcówka) Nr. 6. (9).

H. Rinck („Basler Nachrichten" 1938).
Czarne: Kh5, Hc2, pion: b2. (3).
Białe: Kg7, Hd8, pion: f2. (3).
Końcówka (+) 3+3 = 6.
Białe zaczynają i wygrywają.

Rozwiązanie 3-chodówki Nr. 5. (8) (de Jong)
1. K—g7! 1. K 1... K—a2 (1... W—a8, W—a6, Wxc3) 2. Hxf7 (2. H—b8, H—b6, Hxc3) i 3. mat.

Rozwiązanie końcówki Nr. 5. (8) (Korolkow)
1. W—d2† K—c1 (Kxd2 2. H—h6† poczym 3. Hxh3) 2. W—d1† Kxd1 (Gxd1 H—h6†) 3. G—a4† b3 4. Gxb3† K—c1 5. G—b4† S—c3 6. Gxc3† K—f1 7. G—c4† (7. G—d5? G—f3 8. Gxf3 pat!) Gxc4 8. H—c5! (jeśli H inaczej to G—d3, poczym G—e4 Hxe4 i czarne są w pacie) Gxd3 9. H—b5! 10. b8 S G—d3 11. a8 G G—e2 12. f8 W (jeśli inaczej to 12. G—f3 Gxf3 i czarne są w pacie) (próba 12. G—e1? Gxf3 ! 13. Gxf3 Kxe1! nie prowadzi do celu) teraz czarne wygrały wszystkie swoje atuty i muszą przegrać.

B. DZIAŁ PARTII.

PARTIA Nr. 6. (9).

Białe: Dr. O. Nigg — Czarne: N. Agarkow

grana w XI turn. międzynar. D. Schztg. 1939

Gambit łotewski

1. e4	e5	13. W—b1	S—d7
2. S—f3	f5	14. H—h5	G—f7
3. S×e5	H—f6	15. H—g5	g6
4. S—c4	f×e4	16. W—e1	h6
5. S—c3	H—g6	17. H—h4	g5
6. d3	G—b4	18. H—d4	0—0—0
7. d×e4	H×e4	19. H×a7	S—b6
8. S—e3	G×c3	20. S—f5	S—g6
9. b×c3	S—e7	21. S—e7	S×e7
10. G—c4	d6	22. W×e7	Wd—e8
11. 0—0	G—e6	23. W×b6!	Czarne
12. G—d3	H—c6		poddały się

C. DZIAŁ WIADOMOŚCI.

W r. 1939 odbył się w Lund turniej. Wynik: I—II. Ekenberg i Spielmann po 4, III. Karlin 3.5, Norberg 1.5, Nisson 1, Weimo 0 pkt.

W tymże roku odbył się turniej w Malmö. Wynik: I. Spielmann 5.5, II—III. Engholm i Karlin po 2.5, Johannson 1.5 pkt.

Moskwa. Championat Moskwy zdobył Lilienthal 10, II—III Panow i Smysłow po 9, IV—V Judowicz i Kan po 8½ pkt.

Rozwiązanie gwiazdkowego konkursu szachowego nastąpi w numerze 8. I. K. P.

Człowiek na bezdrożach



Wielki przemysłowiec szwedzki Percival Pattersson znikł razu pewnego bez śladu. Dlaczego? — Przestępstwo, nieszczęśliwy wypadek, ucieczka z powodu nieudanej spekulacji? — Nie! Ucieka on od wszystkich ciężarów życia, od głównego akcjonarjusza, który go szykanuje i od swej córki, która nie ma serca dla ojca. Wyjeżdża on na południe, gdzie jest kelnerem, poławiaczem raków i szoferem, jako nieznany nikomu człowiek. Czuje się szczęśliwy i zakochuje się z wzajemnością w sławnej śpiewaczce i demaskuje jej sekretarza, który jest oszustem. Wreszcie wskutek powikłań zostaje delegatem wschodu w Lidze Narodów. W końcu komunikuje się ze swym przyjacielem Sully, z którym wykupił potajemnie wszystkie akcje i uwolnił się od głównego akcjonarjusza. Córka jego także poprawia się i wszystko kończy się dobrze.







Wydawnictwo „Ilustrowany Kurjer Polski", Kraków, Wielopole 1. Tel. 206-11